

Czym się różni Matrix od czarownic na Łysej Górze?

czyli "Mishellanea" pytają dr. Eligiusza Szymanisa
o romantyzm jako formację kulturową
i o jej wpływ na tożsamość narodu polskiego

W głowach redaktorów Pisma "Mishellanea" zrodził się zamysł zorganizowania serii spotkań z wybitnymi przedstawicielami polskiej humanistyki, które utrzymane byłyby w konwencji wywiadów otwartych. W ich czasie chcielibyśmy rozmawiać o tożsamości polskiego narodu. Na dobry początek zaprosiliśmy doktora Eligiusza Szymanisa, pracownika naukowego Instytutu Literatury Polskiej UW, z którym rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób polski romantyzm wpłynął na kształtowanie się wzorca tożsamowościowego Polaków. Spotkanie odbyło się wieczorem 29 listopada 2006 (a więc w 176 rocznicę – jakże romantycznego – powstania listopadowego) w gościnnych progach księgarni-kawiarni Tarabuk.

Redakcja "Mishellaneów" dziękuje dr. Szymanisowi za przyjęcie zaproszenia, a Tarabukowi za udostępnienie sali.

Jak rozumie pan doktor pojęcie tożsamości grupy społecznej? Na ile jest to pojęcie umowne, a na ile rzeczywiście istnieje coś takiego, co ogarnia większość – bo wiadomo, że nie wszystkie – jednostek związanych więzią społeczną z grupą?

To wcale nie jest łatwe pytanie, bo to jest tak jak z kartką – jakbym poprosił, żeby ktoś z państwa dał mi kartkę, to natychmiast ją dostanę i każdy wie, co to jest. Gdyby jednak przyszło komuś zdefiniować, od jakiego rozmiaru się kartka zaczyna i na jakim kończy, to byłby wielki problem. Czy dwa centymetry na dwa to już, a dwa metry na dwa to jeszcze kartka? Mniej więcej tak jest z tożsamością narodową czy grupową. Wiadomo, że coś takiego istnieje, a jednocześnie równie dobrze można udowodnić,



że czegoś takiego nie ma. Pytanie: jak dalece tożsamości kulturowe są czymś, co w nas jest, jest prywatnie bardzo łatwo rozstrzygalne, bo my wiemy, jak dalece siedzą w nas pewne treści. Natomiast, gdy przychodzi takie tożsamości opisywać, to jest to praktycznie beznadziejne, ponieważ przy każdym definiowaniu da się pokazać lukę w definicji.

Spróbujmy zatem opisać to coś, co w nas siedzi. To, co pozostaje częścią wspólną Polaków i konstytuuje naszą świadomość narodową...

Prywatnie zakładam, że my wszyscy myślimy romantyzmem, ale nie takim wyuczonym z dzieł romantycznych, lecz dziedziczonym jako pewien zbiór przeświadczeń, które uznajemy za oczywiste. Takich przeświadczeń jak to, że pod Grunwaldem Polacy wal-

czyli z Niemcami, albo jak to, że za sprawą romantyzmu w sposób automatyczny utożsamiamy kulturę XIX wieku z kulturą zaboru rosyjskiego i cała reszta nie pasuje do obrazka, co nam zupełnie nie przeszkadza, ponieważ ten obrazek musi być spójny. Mało tego – zabór rosyjski też oglądamy z perspektywy tendencji, które kształtowały się w pewnych kręgach tego zaboru, a które wcale nie były powszechne. Co jakiś czas okazuje się, że w samym zaborze rosyjskim są fakty, które nam nie pasują, które rozbijają spójność obrazka. Gdy patrzymy na przykład na historię Łodzi to ma się ona *de facto* nijak do historii zaboru rosyjskiego. To miasto żyło swoim przemysłowym życiem, tworząc zupełnie inną rzeczywistość. Jeżeli mierzymy ją kategoriami niepodległościowymi czy narodowymi, to Łódź przestaje być zrozumiała. W międzynarodowych powiązaniach kapitałowych zupełnie inne rzeczy okazują się ważne, a przecież to jest też zabór rosyjski. Już nie mówiąc o tym, co się działo się w zaborze pruskim. Jeśli sięgniemy do tak „wielkiej” literatury jak *Między ustami a brzegiem pucharu* Rodziewiczówny, to okaże się, jak dalece skutecznie przebiegał w Prusach proces germanizacji. Zobaczcie państwo – mamy więc zupełnie różne historie XIX wieku.

Paradoks polega zaś na tym, że chcemy mieć historię jedną. Niedopasowanie faktów do zmitologizowanego obrazu jest więc właśnie skutkiem działania tego czegoś, co możemy nazwać tożsamością. Czy mamy jednak do czynienia z tożsamością romantyczną? Na pewno tożsamość ta wyrosła w okresie kiedy romantyzm funkcjonował, a więc w jakiejś mierze wyrosła z literatury romantycznej. Powiedziałbym jednak, że bardziej wyrosła z recepcji tej literatury, czyli, mówiąc krótko, z tego, jak w pewnych okolicznościach literatura ta była odbierana, a nie z tego, jak była nadawana. Później ten schemat recepcji stał się trochę mechanizmem samonapędzającym. Przecież w jakiejś mierze *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza powstały jako skutek recepcji jeszcze nie wydanych

Dziadów. To, jak *Dziady* w pierwszych odczytaniach zostały przyjęte, w jakiejś mierze wpływało na samego Mickiewicza, który niech chciał odbierać nadziei, jakie utwór wzbudził wśród udających się na emigrację powstańców i nadzieje te podtrzymywał w *Księgach*... Z tym „koniunkturalnym” odbiorem utworu nie godził się zaś Juliusz Słowacki.

A co ukształtowało taką, a nie inną społeczną recepcję literatury polskiego romantyzmu?

Tego do dzisiaj nie wiem (mimo że próbuję się tym zajmować). Nie wiem, co było pierwsze. To znaczy: czy romantyzm ukształtował pewne kategorie, czy też pewien moment kulturowo-historyczny, który ukształtował romantyzm, ukształtował również te kategorie. Czy to określone mechanizmy społeczno-kulturowe napędzały romantyzm, czy też to romantyzm je napędzał? Tak naprawdę to był taki wzajemnie napędzający się mechanizm. Realia historyczne wpływały na literaturę, ta zaś kreowała postawy i przekonania, które miały wpływ na przebieg konkretnych wydarzeń i kształt wyobrażeń o przeszłości. Dwa razy podpadłem w radiu straszliwie słuchaczom, gdy z okazji rocznicy uchwalenia konstytucji trzeciego maja powiedziałem, że konstytucja powoływała na dziedzicznego władcę Polski Fryderyka Augusta Saskiego, a więc – posługując się dzisiejszymi kategoriami – Niemca.

Dla wielu słuchaczy przypomnienie trzeciego maja, że jeden z ważniejszych aktów narodowych proponował Niemca na króla Polski, było nie do przyjęcia. Telefonujący z oburzeniem zarzucali mi, że kłamie i szargam świętości narodowe. Tak właśnie działa tożsamość romantyczna.



Jak można opisać romantyczną koncepcję narodu polskiego? I jakie elementy naszego dzisiejszego sposobu myślenia o Polsce i o świecie można wywieść z romantyzmu?

Mam coraz głębsze przekonanie, że to, co wynika z mesjanizmu Mickiewicza, zbliża się, mówiąc brzydkim językiem, do amerykańskiej a nie polskiej koncepcji narodu. Nasz problem z totalnym niezrozumieniem kultury amerykańskiej polega na tym, że my, mówiąc "naród", mamy na myśli coś zupełnie innego niż Amerykanie. Powiadamy przecież: tyłu Polaków tam żyło i znacznie przyczyniło do rozwoju tego kraju, a oni opowiadają o nas brzydkie dowcipy. Nawet w filmowej komedii, kiedy Pawlak i Kargul przyjeżdżają do Stanów, mieszkający tam Polacy pokazują im: tu pomnik Pułaskiego, tam Kościuszki. Wszędzie byli Polacy. Mówiąc jednak językiem wyprowadzonym z mentalności amerykańskiej – nie było żadnego Polaka w historii Stanów Zjednoczonych, ponieważ każdy, kto przyjechał i włączył się, był Amerykaninem. Wszyscy byli przyjezdni. Rdzennych Amerykanów zamykali wówczas w rezerwach. Na tej zasadzie Austriak Schwarzenegger może być dziś gubernatorem stanu. Dla nas zaś wciąż Polakiem pozostaje ten, kto się Polakiem urodził. Tymczasem zauważcie państwo: jeżeli Mickiewicz wykreował figurę "Polski Chrystusa narodów" (dla porządku przypomina, że dosłownie tak Mickiewicz tego w *Dziadach* nie ujął, jednak analogia losów Polski i Mesjasza, łącznie z krzyżowaniem narodu, upowszechniła w uprawniony sposób ten skrót myślowy), to dwu oczywistych wniosków nie chcą przyjąć odbiorcy

Dziadów do dnia dzisiejszego.

Po pierwsze, jeżeli mamy naród, który jest "Chrystusem narodów", to ten naród, na Boga, nie może być

"jak lawa z wierzchu zimna i twarda". "Chrystus narodów" nie może mieć skorupy, na którą należy "plwać"! Tymczasem w tym samym utworze mamy naród krzyżowany i naród "jak lawa". Ten i ten jest narodem polskim. Nie może być jednak narodem tym samym. Naród "jak lawa" opisuje stan istniejący. Naród w widzeniu księdza Piotra jest tworem postulatycznym, który mocą przywołanej analogii otwiera się na wszystkich, akceptujących nowe idee. Tak jak Chrystus mówił: "Pójdźcie do mnie wszyscy", tak ksiądz Piotr otwierał kategorie narodowe. Nie przypadkiem w następnym dziele Mickiewicza – *Panu Tadeuszu* – modelową parę patriotów stanowili: polski zakonnik i starozakonny Żyd. George Sand zaś, odczytując *Dziady*, dostrzegła w nich kreację narodu jako wspólnoty wartości i celów z natury otwartą dla wszystkich. To była koncepcja bliska amerykańskiej właśnie. Myśmy zaś ją sobie domknęli. Domknęli już pierwsi czytelnicy, a Mickiewicz nie protestował, czego nie mógł zrozumieć Słowacki.

Po drugie koncepcja "Chrystusa narodów" w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwiała marzeń o odrodzeniu państwa. Chrystus nie zmartwychwstał przecież, by panować długo i szczęśliwie, ale po to, by przypomnieć uczniom, że jego królestwo "nie jest z tego świata". Koncepcja Mickiewicza przenosiła więc byt narodowy w sferę metafizyczną i ideową, a nie administracyjną. Odbiorcy czekali jednak na "zmartwychwstanie" państwa. Mickiewiczowską teorię, odniesioną do etnicznej koncepcji narodu, przemieniono w koncepcję polityczną. Co więcej, tak rozumianą koncepcję rozszerzono na całą poprzedzającą historię. W ten sposób pod Grunwaldem Polacy walczyli z Niemcami, a w czasie potopu Polak – król bronił narodu przed szwedzkim najazdem, mimo iż był Szwedem i kuzynem najeźdźcy. W zmitologizowanym obrazie historii wszystko musi się zgadzać. Tylko odrzucać trzeba fakty niewygodne.

Dotyczy to nie tylko spraw narodowych, ale także tych poziomów, na których myślenie ówczesne krystalizuje



się w tak prostych sprawach jak relacje wartości materialnych i duchowych. Na tej zasadzie naszą specyfiką jest na przykład świętowanie klęsk. Podobno robimy to tylko my i Irlandczycy. Wszyscy inni świętują zwycięstwa, a o przegranych delikatnie milczą. My zaś dostrzegamy piękno klęski, bo ta łączy się z ofiarą. Wygrana przynosi zaś podejrzaną moralnie korzyść. Powstanie wielkopolskie okazało się zwycięskie, więc nikt o nim nie pamięta, bo co to za powstanie? Zrobili co trzeba, strat wielkich nie było, to właściwie o czym tu mówić? To są skutki powierzchownej recepcji mesjanizmu, które jakoś wciąż w nas siedzą. Ja nie mówię już o takich „drobiazgach” jak stosunek do pieniądza. Po szlachecku pieniądze musimy mieć, ale nie wypada o nich mówić i nie wypada o nie zabiegać, bo to jest w złym stylu. Sukces generalnie uznajemy za podejrzaną, bo romantyzm nie wykreował bohatera sukcesu (jak próbował na początku), ale bohatera totalnie przegranego, który jest ofiarą. Amerykański mit o pucybutcie, który zostaje milionerem, u nas jest mitem o tym, który musiał ukraść, bo nie ma innego sposobu.

Czy z drugiej strony można powiedzieć, że w tym, co umownie nazywamy paradygmatem polskości, funkcjonują też takie elementy, które w XIX wieku były w opozycji do romantyzmu? Takim sztandarowym przykładem jest choćby polski katolicyzm. Mówi się, że cały sposób myślenia Polaków obraca się wokół idei bogoojczyźnianej. Tymczasem dwaj najwięksi polscy romantycy – Mickiewicz i Słowacki – stali bliżej herezji niż katolickiej ortodoksji. Jak silne są te elementy naszej tożsamości, które stoją w kontrze do romantycznego spojrzenia na rzeczywistość?

Można by zbudować taki obraz, który pokazałby polską kulturę jako kulturę antyromantyczną. Paradoks polega bowiem na tym, że my nawet to, co jest teoretycznie antyromantyczne włączamy w romantyzm. Jak pan słusznie mówi, najwięksi twórcy romantyzmu albo byli heretykami, albo byli na krawędzi herezji. Dowodzi tego

działalność Andrzeja Towiańskiego, który w swoim kole skupił największych twórców, a którego poglądy nigdy nie zostały przez Kościół zaakceptowane. Nawet gdy zaczyna się wchodzić w szczegóły w poglądów Cypriana Norwida, to nagle okazuje się, że jego katolicyzm jest już jakby dwudziestowieczny, posoborowy. W takich przypadkach eksponuje się jednak niewątpliwe szukanie drogi do Boga i pogłębianie wiary, wynikające z gorliwości religijnej. Stałym zabiegiem jest także wrywanie cytatów z kontekstu. Bardzo łatwo można powybierać cytaty z wszystkich romantyków, by udowodnić ich czystą religijność.

Czy takie szukanie na siłę elementów romantycznych dotyczy tylko polskiej religijności czy również sfery światopoglądów?

Wszystkie środowiska uważają, że dobrze jest mieć romantyczną proweniencję. Przyznawanie się do innej zmniejsza szanse na społeczną akceptację. Kiedy profesor Maria Janion ogłosiła „zmiernik paradygmatu romantycznego”, to paradoksalnie ona sama zaczęła pokazywać romantyczną genezę feminizmu i przedstawiać złożone relacje polsko-żydowskie jako te, które łatwo dają się z tamtych czasów wyprowadzić. Pokazywała, że schematy myślowe, które teraz dominują, mają także romantyczną proweniencję. Jeden paradygmat zaczęło bowiem automatycznie zastępować innym, który jednak w dalszym ciągu pozostawał romantyczny. Ktoś, kto nie chce brać udziału w „wyścigu szczurów” i zaczyna funkcjonować poza schematycznym modelem kariery, jawi się jako romantyczny buntownik dotknięty alienacją, prowadzącą do nastrojów bliskich tym, które kreował Antoni Malczewski w *Marii*.



W debacie publicznej bardzo często padają ostre – niezasłużone jak sądzę – słowa w kierunku romantyków. Wszystkie złe cechy Polaków (na przykład brak zrozumienia dla sukcesu czy *liberum konspiro*) zrzucone są na ich barki. Czy takie podejście jest uzasadnione? Osobiście wydaje mi się, że ciosy te idą poza tarczę...

To, co mnie w poznawaniu romantyzmu najbardziej intryguje, to odkrywanie, że najbardziej typowe stereotypy romantyzmu, które u nas funkcjonują, właściwie nie pochodzą z utworów romantycznych. One wynikają z recepcji, z tego, jak dzieła były odbierane w określonych okolicznościach emocjonalnych. Wiadomo, że jeżeli pierwszymi czytelnikami tych utworów byli powstańcy i to niedługo po klęsce, którzy musieli uciekać z kraju, to mieli naturalną tendencję do odbioru rzeczywistości w kategoriach czarno-białych i szukania w utworach łatwych rozwiązań. Prowadziło to do uproszczonych odczytań. Odczytywane dzieła były jednak znacznie subtelniejsze. Tak naprawdę i *Dziady*, i *Kordian*, i *Nie-boska* są jeszcze nie w pełni odczytane. To jest zadanie dla państwa. Przecież w kontekście interpretacji, które uznajemy, absurd goni w tych tekstach absurd!

Kordian Juliusza Słowackiego pozornie wydaje się tekstem znanym. Dramat ten jest budowany w sposób nieciągły. Po scenie, którą zamykają słowa: *Panicz się zastrzelił*, panicz jest zupełnie gdzie indziej. Nikt nie tłumaczy dlaczego, nikomu to nie przeszkadza. Tenże panicz, który sobie przeskakuje z polskiego dworu do Londynu, z Londynu do Włoch, raptem, żeby powiedzieć coś ważnego, musi wleźć



na najwyższą górę. Po jakiego diabła, przepraszam? Czemu to ma służyć? Ale mało tego. Z tej góry musi do Warszawy polecieć na g a d a j ą c e j

chmurze! Jak do tej pory spokojnie był przenoszony w różne miejsca. Gdyby więc po ważnym monologu znalazł się w Warszawie najnormalniej w świecie, to byłoby zgodne z przyjętą konwencją dramatu. Gadająca chmura zaś ewidentnie bierze w ironiczny nawias to, co zostało na Mont Blanc powiedziane. Bo po co chmura, jeżeli wcześniej w dramacie nie było takich chwytów? Odkąd obejrzałem *Matrix*, niezmiennie pomysł tego filmu kojarzy mi się z *Kordianem*. Mówię zupełnie poważnie. Czym bowiem różni się *Matrix* od czarownicy na Łysej Górze, które na początku wieku lepią całe stulecie? Jakież piekielne towarzystwo ukształtowało cały wiek dziewiętnasty. Przez stulecie ma się realizować zaplanowany w szczegółach scenariusz. Z tej perspektywy ludzie są jak owady w pudełeczku. Ktoś inny puszcza to pudełeczko w ruch. Decyduje o wszystkim... Tymczasem Kordianowi wydaje się, że od niego wszystko zależy, że on rozwiązuje wielkie dylematy. W dramacie jest taka scena, kiedy Kordian zbliża się do cara, aby go zabić. Czytelnik, który pierwszy raz czyta utwór, może przeżywać moment niepewności: "zabije, nie zabije", bo może mieć do czynienia z fikcją historyczną. Można sobie przecież wyobrazić dramat, który przedstawiałby hipotetyczną sytuację po zabójstwie cara w czasie koronacji w 1829 roku. Wnikliwy czytelnik nie powinien jednak mieć wątpliwości. Powinien wiedzieć, że Kordian cara nie zabije, bo dramat byłby pęknięty wewnętrznie. W tym samym utworze na początku zakłada się bowiem, że będzie powstanie listopadowe, które będzie miało wodzów takich, jakich miało. O tym mówi przecież *Przygotowanie*. Gdyby zaś w 1829 roku w Warszawie zginął car, to historia potoczyłaby się inaczej. Skoro zakładamy, że historia przynajmniej do powstania toczy się tak, jak się toczyła, to car nie mógł zginąć. Musiał pojawić się jakiś *deus ex machina*, Strach i Imaginacja, które spowodowały, że rzeczywistość nie wymknęła się spod kontroli tym, którzy jak matrixem zarządzali wiekiem XIX. W takim przypadku jednak Kordian jest ubezwłasnowolnioną

marionetką. Nikt tego nie chce dostrzec. Od czasów szkolnych, kiedy po raz pierwszy czytałem *Kordiana*, oczywista wydawała się taka opozycja: Mickiewicz poprzez mesjanizm propaguje pasywnizm, bo przecież Chrystus biernie poddał się prześladowcom. Słowacki przeciwstawia mu postawę aktywną, bo w jego wydaniu Polska jest „Winkelriedem narodów”, a więc kimś, kto walczył i zginął w walce. Tymczasem nie na tym opozycja ta polega, bo militarne dokonania *Kordiana* są zupełnie żadne. Opozycja Chrystusa i Winkelrieda odejmuje narodowi „boskość” i szczególne miejsce w dziejach. Jego poświęcenie jest ważne, ale mierzone ludzką miarą. Nie tylko na polemice z Mickiewiczem polegają wszak dylematy interpretacji *Kordiana*. Dramat ten atakuje ironicznymi niekonsekwencjami. Jeżeli *Kordian* zdemaskował się w katedrze, to nie miał prawa pełnić warty przy carskiej sypialni, bo albo szpiegów tam nie było, jak zakładano, albo byli oni do niczego, albo, co najgorsze, to *Kordian* był manipulowany i pełnił służbę dlatego, że księciu Konstantemu to było na rękę. Nie przypadkiem pierwsze pytanie cara po nieudanym zamachu dotyczyło udziału brata. Car w utworze Słowackiego zakłada, że to jego brat zaplanował spisek. Fakty te w dominującym modelu recepcji są zupełnie ignorowane. Słowacki ma nam pokazywać wizję: „Polski Winkelrieda narodów”, która się poświęca, biorąc na siebie uderzenia skierowane w innych. Niezrozumiała reszta stanowi zaś konwencjonalne romantyczne opakowanie, którym można sobie głowy nie zawracać. Jednak i *Kordian* i inne dzieła romantyczne były znacznie bardziej subtelne. W gruncie rzeczy zupełnie co innego proponowały i, jak powtarzam, to nie one utworzyły mit. Mit ukształtowali ci, którzy na subtelności nie zwracali uwagi, którzy byli po doświadczeniach przegranej powstania, którzy stracili wszystko. Ich recepcja była uwarunkowana politycznie. W tamtych realiach tworzyła się więc instrumentalna recepcja, która została do dziś. Można więc powiedzieć tak: jeżeli uznajemy, że z romantyzmu pochodzi wyłącznie mit patriotyczny, jakoś tam związany z walką,

to można mieć do romantyków pretensje o ułomności dzisiejszego widzenia świata. Wówczas jednak wszystko, co jest w opozycji do wizji tyrtejskiej, trzeba by uznać za nieromantyczne. Tymczasem tak nie jest.

Skoro mit romantyczny, który został wytworzony – jak tutaj zostało powiedziane – w wyniku upraszczającej interpretacji, od początku był w pewnym sensie ułomny, to dlaczego nikomu nie udało się go rozbić? Czy tutaj wchodzi w grę uwarunkowania historyczne czy zupełnie coś innego?

Boję się o tym mówić, bo tak naprawdę to nie wiem. Mam wrażenie, że wchodzi w grę podstawowe czynniki socjologiczne. Uproszczone, w pewien sposób dowartościowujące, obrazy społeczne są w znacznie lepiej przyjmowane niż subtelne analizy. Właściwie każdej zbiorowości łatwiej przychodzi wiara w rzeczy, które budują jej pozytywny wizerunek. Im mniej pogłębiona analiza, tym łatwiej pozytywny wizerunek spotyka się z dobrym przyjęciem. Jak powie się grupie, że jest lepsza od innych, że jest Chrystusem, czy Winkelriedem, to przyjmie to chętniej niż wtedy, kiedy powie się, że czegoś nie dokonała, czegoś nie potrafiła, coś zrobiła w złym momencie i zupełnie niepotrzebnie. Taka sama powierzchowna analiza zadziałała też w przypadku Mickiewicza. Jeżeli jednak przyjmiemy, że Polska jest „Chrystusem narodów”, to wyprowadzenie z tego faktu dowartościowania emigracji było zupełnie nielogiczne, bo wówczas emigranci stanowili „niedobitą” część narodu, który miał wypełnić ofiarę, czyli poświęcić się do końca. Mit był jednak bardzo potrzebny. Uczciwie państwu powiem, że nawet nie wiem kiedy się ukształtował. Nie wiem, czy tak naprawdę nie został uformowany dopiero przez Sienkiewicza, który w opozycji do



pozytywistów wykreował to coś, co my nazywamy głównym nurtem romantycznego mitu. Później w akcentowaniu wartości ofiary dołączył Żeromski. Z całą pewnością romantyczne poczucie wyjątkowości naszego narodu stało się urzędowym mitem dwudziestolecia międzywojennego. Mit ten miał maskować duże różnice w tradycjach poszczególnych zaborów. Nie chcę się narażać, ale muszę powiedzieć jednoznacznie, że dla mnie jednym z romantycznych mitów jest określenie: "Polska pod zaborami". Określenie to nie oddaje bowiem niczego, poza sytuacją na mapie. Trudno mi to powiedzieć, ale prywatnie sądzę, że należałoby wprowadzić niewielką korektę stylistyczną i mówić o "Polakach w trzech zaborach". Różnica między Polakiem w zaborze rosyjskim a Polakiem w Galicji była bowiem mniej więcej taka, jaka dziś między Polakiem na Białorusi a Polakiem w Stanach Zjednoczonych. Mickiewicz, odnosząc się do sytuacji w Rosji, pisał: *może ktoś z was urzędem, orderem zhańbiony*. Uważał więc, że nawet Rosjanina kompromitują carskie nagrody. Polaka hańbiłyby więc w znacznie większej mierze. Rzeczywiście w zaborze rosyjskim dla pewnych środowisk przyjęcie godności od cara wiązało się z ostracyzmem towarzyskim. Tymczasem, gdy ojciec Aleksandra Fredry dostał od cesarza Austrii tytuł hrabiowski, to nie widzimy w tym nic zdrożnego. Do dziś mówimy: Aleksander hrabia Fredro i w żadnym przypadku nie sądzimy, że hrabiowski tytuł Fredrze uwłacza. Już od wielu lat powtarzam przykład z butelką wody mineralnej "Żywiec", na etykiecie której znajduje się portret Franciszka Józefa. Gotów jestem założyć się o du-że pieniądze, że nikt nie znajdzie



żadnego polskiego produktu z portretem cara jako znakiem firmowym. Jeżeli jednak operujemy schematami słowami: "Polska pod

zaborami", to Franciszek Józef – dobry czy zły, miły czy niemiły – był takim samym zaborcą jak car. W dwudziestoleciu międzywojennym bardzo chciano akcentować jedność ojczyzny. Uznawano więc, że spod trzech zaborów wyłoniła się Polska jednorodna. To był jednak uporczywie kreowany szkolny mit. Znamienna reakcja Gombrowicza dotyczyła nie tyle funkcjonowania tego mitu w świadomości, ile urzędowego kreowania w szkołach i instytucjach państwowych. Dzisiaj zaś tak naprawdę nie wiemy, jak mocno zakorzenił się ten mit przed wojną. Wydaje się nam, że niezwykle mocno, bo potwierdziła to postawa Polaków w czasie okupacji. Czy jednak był to skutek działania romantycznych wartości, czy reakcja na metody działania okupantów, rozstrzygnąć trudno. W efekcie mit wydaje się odwieczny, wzmocniony jeszcze *Kamieniami na szaniec* i losami poetów, ginących w powstaniu. Późniejsze analogie między PRL-em a Królestwem Polskim wciąż aktualizowały romantyczne treści. Teatralne realizacje dramatów romantycznych każdorazowo były wydarzeniami politycznymi. W sześćdziesiątym ósmym roku o co innego chodziło, lecz na poziomie faktów ideowych liczyło się zdjęcie *Dziadów* Dejmka ze sceny Teatru Narodowego i obrona poetów romantycznych. W tworzeniu Solidarności mit ten również się aktualizował. Niemal dosłownie podejmował go Jacek Kaczmarski jako bard tego ruchu.

Ale czy nie jest przypadkiem tak, że ten mit romantyczny utrwał się w świadomości polskiej inteligencji, a przede wszystkim polskiej szlachty? To, że Druga Rzeczpospolita promowała taki, a nie inny mit, nie wynikało tylko z założenia wziętego z powietrza, ale też z tego, że Józef Piłsudski został wychowany w typowo romantycznym kulcie powstania styczniowego. Na ile ta romantyczna świadomość była czymś kreowanym przez administrację państwową, a na ile było to coś oddolnego, będącego żywym wśród polskiej szlachty i mieszczaństwa?

Pan powiedział najważniejszą rzecz: polski sposób myślenia ukształtował się po powstaniu styczniowym. Polska inteligencja powstała rzeczywiście inaczej niż inteligencje wszystkich krajów, które nas otaczają. U nas (to znaczy w zaborze rosyjskim) inteligencję ukształtowano jednym ruchem przez "wysadzenie z siodła". W Niemczech, we Francji, wszędzie dookoła, inteligencję tworzyły dzieci mieszczan. Syn szewca, który się dorobił, zdobywał wykształcenie i szedł do góry w hierarchii społecznej. Był to awans. U nas, gdy wyrzucono szlachtę z majątków i zmuszano do podjęcia zawodów inteligenckich, była to degradacja. W słabo rozwiniętych miastach musiała ona jakoś sobie radzić. Zarówno zatem część burżuazji (co pokazuje Reymont w *Ziemi Obiecanej*), jak i inteligencja polska wyrosły z tejże szlachty. Automatycznie więc przejęły jej mitologię. Co więcej, sytuacja po powstaniu styczniowym niezwykle silnie konserwowała i podtrzymywała te mity (co konsekwentnie pokazywał Żeromski). Do dzisiaj w Polsce wydaje się oczywiste, że lekarze i nauczyciele nie mogą strajkować, bo oni nie pracują, tylko pełnią misję. Misja wymaga zaś poświęcenia, co wydaje się oczywiste. Wzorzec Judyma i Siłaczkii pozostaje żywy. Stąd też, gdy pracowałem w Niemczech, zupełnie zaskoczyła mnie reakcja kierownika mojej katedry. Przypadkowo spotkałem we Frankfurcie profesora naszego uniwersytetu, który zgodził się spotkać się z moimi studentami. Przeszedłem do szefa i mówię, że jutro będzie to spotkanie. Tymczasem kierownik odpowiada, że to niemożliwe. Jak to nie możliwe? – mówię. "No nie, niemożliwe, bo nie mamy pieniędzy". Profesor nie chce żadnych pieniędzy – odpowiadam. Wtedy usłyszałem coś, co zapamiętałem i co uświadomiło mi różnice mentalne: "Praca nie zapłacona jest kradzieżą, a my tu nie kradniemy. W następnym semestrze może będą pieniądze, to go zaprosimy, teraz nie możemy". Czy ktoś pomyślałby u nas, że nie można zaprosić profesora, bo jak nie zapłacimy, to pozostaniemy ze skazą kradzieży na sumieniu? Przecież my mamy

poczucie, że nauczanie, leczenie, kreowanie postaw (czyli podstawowe zadania inteligenckie) to jest coś znacznie ważniejszego niż praca zarobkowa. Mówienie w tym kontekście o pieniądzach zakrawa na małostkowość. Tymczasem w tradycji mieszczańskiej jest odwrotnie. Tak jak u nas "podnosi się kruszynę chleba z ziemi przez uszanie", tak podnosi się tam najdrobniejszą monetę, bo pieniądź jest parytetem pracy, a praca jest wartością. Jak mamy więcej pieniędzy, to znaczy, że większą wartość reprezentujemy. Szacunek dla pieniądza jest bowiem szacunkiem dla tego, co się na ten pieniądź złożyło. Tymczasem u nas jest zupełnie inaczej. Szlachcic nie musiał wcześniej myśleć o pieniądzach, bo podstawowy byt miał zapewniony. W związku z tym sfera idei funkcjonowała w jego świadomości w oderwaniu od sfery zapewnienia bytu. To jest różnica, która nas dzisiaj mentalnie oddziela od znacznej części Europy.

Wracając jednak do powstania styczniowego... Było ono produktem romantyzmu, dlatego że nie miało najmniejszych szans. Było zrywem wyłącznie ideowym. Regulamin wojskowy II RP stanowił zaś, że wszyscy żołnierze Rzeczypospolitej, z marszałkiem włącznie, oddają honory powstańcom styczniowym. Udział w powstaniu wyznaczał więc najwyższą godność! Tak, jak dziś jeszcze nie wypada dyskutować o sensowności powstania warszawskiego, tak w dwudziestolecium w ogóle nie można było poddawać w wątpliwość sensu powstania styczniowego. Był to fakt w pełni mitologiczny, a nie historyczny.



Mamy tutaj ciekawy splot okoliczności historycznych – początek lat sześćdziesiątych XIX wieku: działa Szkoła Główna w Warszawie i tworzy się pokolenie z gruntu pozytywistyczne, pokolenie, które miało szansę wprowadzenia innego sposobu myślenia. Na ile powstanie styczniowe i wykreowany przez nie mit “zwichnęły” polski pozytywizm?

Dla mnie pozytywizm jest tak samo romantyczny jak romantyzm. Na tym polega kłopot z pozytywizmem, że to jest inna forma tych samych schematów zachowań. Pozytywiści napisali wielkie dzieła dopiero wówczas, gdy poczuli, że im nie wyszło. O tym zresztą, dlaczego nie wyszło, są te dzieła. Nie wyszło zaś z jednego prostego powodu: to, co miało być środkiem, stało się celem. Gromadzony kapitał i możliwości gospodarcze miały bowiem służyć celom narodowym. Zabory bowiem (w szczególności zabór rosyjski) dawały Polakom ogromną szansę, której nie mieli mieszkańcy wielu krajów Europy. Trwała wówczas walka o rynki zbytu, a my nie mieliśmy granic celnych aż do Chin czy Japonii. Tworzyło to niesamowitą koniunkturę dla polskich firm. Te ogromne możliwości ekonomiczne, które pokazuje Prus w *Lałce*, były w pełni realne. Wyrosły też realne fortuny. Tylko że Prus wskazywał gospodarcze możliwości po to, by zrobić z nich użytek skuteczniejszy niż z broni w czasie powstania. Chodziło wszak o realizację tego samego celu narodowego. *Lałka* była zaś “powieścią o straconych złudzeniach” dlatego, że środek stał się celem. Wokulski zamiast oczyszczać Powiśle, ratować biednych, tworzyć im miejsca pracy, uganiał się za jakąś babą.



Pozytywiści zaczęli jednak działać w bardzo nie sprzyjających okolicznościach. Nie zapominajmy, że wszystko, co było rozsądne gospodar-

czo w dwudziestolecie międzywojennym, wyrosło z pozytywizmu: Żoliborska Spółdzielnia Mieszkaniowa i prawdziwy ruch spółdzielczy, który potem został w PRL-u skompromitowany włączeniem w strukturę “gospodarki socjalistycznej”.

Pokazał Pan Doktor to, jak na ziemiach polskich literatura inspirowała konkretne zachowania ze sfery ekonomicznej. Świadczy to o potężnej sile oddziaływania społecznego polskich dzieł literackich. Czy takie funkcjonowanie literatury stanowiło polską specyfikę? A jeśli tak, to czego mogło być substytutem? Braku własnej administracji, własnego państwa? Czy może braku pozytywnych przykładów historycznych, na których można byłoby budować mitologię?

Najprościej jest właśnie powiedzieć, że nie było państwa, więc literatura przejmowała wszystkie społecznie znaczące funkcje. Nie jest to jednak takie proste. To, co pan przed chwilą powiedział, określam bardziej brutalnie, mówiąc, że romantyzmu w ogóle nie było. Pozytywizmu zresztą także nie. Był taki moment, w którym zaczęto pisać o dziewiętnastowieczności jako kategorii opisującej jedność kulturową XIX wieku. Kiedy bowiem mówimy na przykład o oświeceniu, to możemy uznać, że był taki moment (możemy się jeszcze sprzeczać kiedy), w którym ogół wykształconych ludzi akceptował idee oświeceniowe. Politycznie ludzie ci mogli się różnić, ale uznawali zbliżony światopogląd. Tymczasem po Kongresie Wiedeńskim już nigdy takiej jedności nie było, albo też była w akceptacji kapitalizmu. Nie dotyczyła jednak postaw ideowych i estetycznych. Artyści stali się outsiderami. Żyli w zamkniętych społecznościach, które nie wyznaczały już sposobu myślenia ogółu wykształconych ludzi. Teza taka zdaje się przeczyć głównym założeniom naszej rozmowy. Mówimy przecież o powszechnym funkcjonowaniu romantycznej mitologii. Sprzeczność jest jednak pozorna, dlatego, że, jak staram się udowodnić, mitologia ta bardzo szybko oddzieliła się od intencji jej twórców.

Najlepszym dowodem oderwania się artystów od reszty społeczeństwa są dla mnie *Listy z podróży* Antoniego Edwarda Odyńca, który wspominał, jak to jechał z Mickiewiczem przez Niemcy. Listy te nie są uznawane za zbyt wiarygodne, bo Odyniec próbował się dowartościować w aurze wielkości Mickiewicza. Dla mojej tezy są jednak szczególnie cenne właśnie z tego powodu. Odyniec i Mickiewicz są prawie rówieśnikami. Jadą razem. Mieszkają w tych samych hotelach. Kiedy jednak na jakimś przyjęciu ktoś zaczyna grać na fortepianie i Adam, zmieniając się na twarzy, mówi jakieś dziwne rzeczy o duchach i upiorach, Odyniec nic z tego nie rozumie. Proszę państwa, jak Mickiewicz zaczyna podczas improwizacji kreować coś, co pojawi się później w jego najważniejszych tekstach, to już Odyniec - rówieśnik, kolega, w ogóle nie wie, o co chodzi. Kiedy w *Lalce* Rzecki wspomina czasy swojej młodości, a więc dokładnie okres romantyzmu, to opowiada, jak ich stary sklepikarz Mincel rozliczał co tydzień z oszczędności. Ta zaś nie była cechą romantyczną. Nie mógł więc uznawać Rzecki, że "jedność większa od dwóch". A były to czasy romantyzmu! Był więc romantyzm pierwszą ideologią, która zamknęła się w cyganeriach. Wyrażała wątpliwości outsiderów, żyjących na uboczu, gdy życie toczyło się swoim nurtem.

Czy można zatem tak powiedzieć, że w zaborze rosyjskim romantyzm, czy też ogólniej – potęga literatury – była tak silna właśnie dlatego, że nie działał mechanizm kapitalistyczny spychający literaturę do pozycji outsiderskich, mechanizm, który bardzo dobrze funkcjonował w zaborze pruskim?

Każda odpowiedź będzie prawdziwa i nieprawdziwa. Tak jest z każdą generalizacją. Można przyznać panu rację i jednocześnie można się nie zgodzić. Pamiętajmy, jak mówimy o różnicach między zaborami, to zawsze powtarzam, że słynny wóz Drzymały w zaborze pruskim poza wszystkim dowodził, że Prusy były państwem prawa. Jak Drzymale udało się prawo obejść,

to mógł gest Kozakiewicza pokazać żandarmowi i nikt nie mógł mu nic zrobić. W zaborze rosyjskim wóz by spalono, a Drzymałę powieszono. W *Placówce* Prusa Ślimak może swojej ziemi Niemcom nie sprzedać. W zaborze rosyjskim konfiskowano zaś majątki nie prosząc i nie płacąc. Kapitalistyczne prawo własności jeszcze tu nie działało.

Z drugiej strony jednak w zaborze rosyjskim Polacy i Rosjanie wspólnie doświadczali surowości władzy. Syberia była miejscem, gdzie spotykali się polscy i rosyjscy opozycjoniści, gdzie nawiązywały się przyjaźnie. Zdarzało się, że zesłańcy, którzy w syberyjskich miasteczkach wieczorami szli na zachód, żeby chociaż przez chwilę być bliżej ojczyzny, po powrocie z zesłania pisali podania o umożliwienie im powrotu na Syberię. Ci bowiem, którzy wracali, nie zawsze umieli się odnaleźć. Nie mieli z czego żyć, bo konfiskowano ich majątki. Najwięcej żebraków w Warszawie miało kartki: "Wróciłem z zesłania". Na Syberii zaś robili niekiedy niezłe interesy. Bywało więc, co wydaje się nieprawdopodobne, że powracający z zesłania chcieli tam wrócić. Ze stereotypami za każdym razem jest więc tak, że nie do końca są prawdziwe.

Mówił Pan Doktor, że to, co nazywamy dziś tożsamością romantyczną w zasadzie powstało na bazie kultury i doświadczeń z zaboru rosyjskiego, które w dużej mierze dzieliliśmy przecież z narodem rosyjskim. Czy taka sytuacja wpłynęła na ukształtowanie się zbliżonych do siebie tożsamości kulturowych?

To jest znowu problem piętrowy. Po pierwsze, Caryca Katarzyna była otwarta na kulturę europejską i dlatego to, co do nas przyszło ze znacznym opóźnieniem, pojawiło się



w Rosji wcześniej. Gdy Mickiewicz przyjechał do Rosji w 1824 roku, u nas toczył się spór klasyków z romantykami, w którym ewidentnie dominowali klasycy – to oni byli profesorami, redaktorami. W Rosji nikt już nie pamiętał, że było coś innego niż romantyzm. W związku z tym rosyjski romantyzm miał znacznie głębsze korzenie.

Po drugie, warunki w zaborze rosyjskim im bliżej było niepodległości, tym mniej odróżniały nas od Rosjan. Autonomię ograniczano. Rosjanie twierdzili nawet (co widać w utworach Dostojewskiego), że byliśmy uprzywilejowani. Zresztą z perspektywy dzisiejszych badań amerykańskich też trudno mówić o dyskryminacji Polaków i to w jakimkolwiek zaborze. Z faktu bycia Polakiem nie wynikały bowiem żadne formalne ograniczenia. W myśl dzisiejszych definicji dyskryminacja występuje zaś wówczas, kiedy komuś czegoś nie wolno z racji narodowości, koloru skóry czy wyznania. Otóż Polacy w każdym zaborze – jeśli akceptowali władzę – mogli swobodnie robić karierę. Mówiąc dzisiejszym językiem, germanizacja i rusyfikacja były to programy adaptacyjne. Wszystko więc, czego my doświadczyliśmy jako narodowych represji, Rosjanie doświadczyli jako skutków działania systemu własnej władzy. Tak samo byli więc zsyłani. Tak samo skazywani na katorgę. Na Syberii zawiązywały się przyjaźnie. Urzędnicy rosyjscy pracujący w miasteczkach syberyjskich też trafiali tam na skutek niełaski. Znajdowali więc wspólny język z polskimi inteligentami (czasem jedynymi, z którymi można było rozmawiać). Tworzyły się więc realne związki rosyjskiej władzy i polskich zesłańców. Paradoksalnie bowiem rzecz biorąc: i na-



stroje, i problemy były wspólne. Właściwie te same emocje, ten sam stosunek do władzy, te same marzenia i niemożność spełnienia tych marzeń wyra-

żały się w bardzo podobnej literaturze. Nie jest przypadkiem, że III część *Dziadów* Adama Mickiewicza nie jest wcale utworem antyrosyjskim. W dramacie, który pokazuje represje wobec Polaków, najgorsi okazują się sami Polacy. Co więcej, wprowadzie senator Nowosilcow okrutnie traktuje polską młodzież, ale wydzwięk jego działań zmienia epizod z kupcem Kanissynem. Przypominam, kupiec upomina się o pieniądze, które Nowosilcow jest mu winien. Senator nie chce oddać, więc decyduje się aresztować syna kupca, mimo, że ten jest kadetem w Petersburgu. Wymyśla więc absurdalne zarzuty polityczne. Żle świadczy to o postawie etycznej senatora.

Świadczy też jednak o tym, że wszystko, co przydarzyło się filomatom, równie dobrze mogło przydarzyć się patriotycznemu Rosjaninowi. Wobec Polaków nie stosuje się więc szczególnych restrykcji, bo ten sam mechanizm terroru dotyczy Rosjan. Z jakiegoś powodu Mickiewicz prawdę tę eksponuje... *Dziady* nie ucierpiałby przecież bez epizodu z kupcem Kamissynem. Pojawił się on jednak zdecydowanie nieprzypadkowo.

To też wspaniale widać w *Ustępie do trzeciej części Dziadów*. Bo przecież naród nie jest zły, to system jest diabelski...

Oczywiście! Ale, paradoksalnie, *Ustęp* pokazywał europejską genezę straszliwego systemu. Zło przychodziło z Zachodu, bo car chciał europeizować Rosjan. To są istotne niuanse. W wierszu *Nocleg* najgorszym oprawcą, który podpalił dwór, zabił dzieci i żonę dowódcy oddziału powstańczego, okazał się "Francuz niestary przystojny", który "w moskiewskiej służbie wieś palił". Po powstaniu można było pokazać okrutnych rosyjskich oficerów. Mickiewicz wybrał jednak Francuza, który "za pieniądze lud siecze niezbrojny".

Wydaje mi się, że tu ujawnia się też element "prastawiańskiej" ideologii romantycznej. I dlatego Francuz.

Paradoks polega na tym, że nasz romantyzm z jednej strony zawiera w sobie solidarność Słowian i otwarcie na Rosjan jako przyjaciół, którzy tak samo cierpią w okowach absolutyzmu carskiego. Z drugiej zaś w naturalny sposób otwiera się na Europę zachodnią. Europa nie jest jednak w stanie zrozumieć doświadczeń Polaków. Dlatego Rosjanie, cierpiący pod berłem cara, są w jakiś sposób "swoi". Natomiast ludzie Zachodu, zajęci gromadzeniem pieniędzy, mają innych bożków i nie rozumieją naszych dylematów. W wyniku rodzi się solidarność słowiańska przeciwstawiana obcemu, pragmatycznemu Zachodowi. I na tym polega kłopot.

Skoro zrobiliśmy już taki mały krok w stronę Zachodu, to może pozostaniemy w tych okolicach geograficznych. Gdybyśmy mogli tak porównać romantyzm polski z zachodnioeuropejskim, lecz nie pod względem poetyki czy treści, ale ze względu na siłę społecznego oddziaływania literatury romantycznej.

Po pierwsze, o ile u nas romantyzm jest ważną formacją, o tyle na zachodzie Europy sytuuje się na styku wielkiego oświecenia z wyrastającą wprost z niego literaturą realistyczną. Francuskim i romantykami są: Hugo i Stendhal, którzy zaistnieli w kulturze światowej jako realistyczni powieściopisarze. Z kolei trzy czwarte zjawisk preromantycznych Zachód wiąże z oświeceniem. Shiller i Goethe to są klasycy niemieccy, a nie romantycy. Dla nas jednak *Cierpienia młodego Wertera* są ważniejsze niż wiersze Hölderlina, czy von Kleista. Tak naprawdę kiedy mówimy o niemieckim romantyzmie, to najczęściej myślimy o *Cierpieniach młodego Wertera*, które ukazały się w 1774. Przecież to był moment debiutu Ignacego Krasickiego. *Zbójcy* Shillera ukazały się dziesięć lat wcześniej niż *Powrót pasterki* Niemcewicza. Zapominamy też, że romantyzm europejski wyrasta w jakiejś mierze z nurtu filozofii libertyńskiej. Z tego, co w libertynizmie było buntem przeciw normom, przeświadczeniem, że świat jest zły, wyłoniła się roman-

tyczna alienacja człowieka. Oczywiście libertynizm de Sade'a przemienił się w ekscesy erotyczne. Byron kreował jednak bohaterów, podobnie oceniając rzeczywistość. Gdy przywołujemy byronizm, nie mamy poczucia, że jest to negatywna kategoria. Przyznajemy romantyzmowi prawo buntu przeciw spójnej oświeceniowej wizji rzeczywistości. W Europie jednak to oświecenie było buntem. Rozbiło świat w proch. Wprowadziło dziesięć miesięcy w roku i dziesięć dni w tygodniu. Romantyzm był próbą zlepiania rozbitego świata ludzką osobowością, bo tylko człowiek pozostał integralny. Romantyzm był nadzieją na powtórne scalenie. To u nas oświecenie i późny klasycyzm lat dwudziestych zostały utożsamione z porządkiem, a romantyzm – siłą rzeczy – z buntem i rozbijaniem. Tymczasem romantyzm europejski był próbą poszukiwania w sobie ładu, którego już na świecie nie było. Produktem tego romantyzmu był przecież Artur Schopenhauer, który do kultury wszedł pod koniec wieku, by dać podstawę teoretyczną modernizmowi. Romantyzm i neoromantyzm były bowiem podobnym buntem przeciwko światu, który się rozsypuje... Świat ten się już nie skleił. Romantyzm i neoromantyzm były więc reakcją na alienację. Przez cały dziewiętnasty wiek poczucie zagubienia narastało.

Mówiliśmy głównie o Mickiewiczu i Słowackim. Sądzę, że na koniec warto spytać o to, jaki wpływ na kształtowanie tożsamości Polaków w XIX wieku mieli poeci romantyzmu krajowego?

To jest kwestia, którą można sprowadzić do pytania: co by było, gdyby nie było Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego? Trzech ludzi...

Polska literatura mogłaby wyglądać tak, że byłby Fredro, a później Kraszewski. To też byłby romantyzm. Fredro także



kreuje indywidualistów, także odszedł od pokazywania postaci typowych na rzecz unikalnych osobowości. Modelowe sytuacje też zastąpił fenomenami. Z całym szacunkiem jednak, inaczej wygląda indywidualizm postaci u Fredry, inaczej u Mickiewicza i Słowackiego.

Właściwie można byłoby wyliczyć kilka zaledwie osób, które stworzyły esencję tego, co nazywamy polskim romantyzmem. Przecież Teofil Lenartowicz, Kornel Ujejski, Władysław Syrokomla byli poetami, którzy romantyzm przemienili w konwencję estetyczną. Od *Pieśni nabożnych* Karpińskiego można ewolucyjnie przejść do *Mizerna, cicha, stajenka licha...* Lenartowicza i nie dostrzec zasadniczej różnicy. Drugie pokolenie romantyków, wyjąwszy Cypriana Norwida, doskonale wyrasta z Trembeckiego czy właśnie Karpińskiego. Dla nich Mickiewicz wyznaczył po prostu kanon estetyczny. Oni nie kreują żadnej wizji świata. Piszą wiersze w konwencji estetycznej, którą spokojnie można by wyprowadzić z sentymentalizmu. To, o czym cały czas mówimy, wyrasta z kręgu idei Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, być może jeszcze po trosze Towiańskiego i Norwida. Skupia się wokół, umownie mówiąc, wieszczęj formuły romantyzmu.

I dlatego taka wielka szkoda, że Antoni Malczewski nie zdobył Marią "rządu dusz". Maria Żmigrodzka pisała w jednym ze swoich szkiców o dwóch

autonomicznych początkach romantyzmu w Polsce – o Mickiewiczu i o Malczewskim właśnie. Tylko że ten drugi korzeń został ucięty przez nieszczęśliwe zrządzenie losu.

W tym drugim nurcie był przez moment Mickiewicz w *Sonetach krymskich*, które poetyką są bardzo bliskie *Marii Malczewskiego*. Mickiewicz był starszy o pokolenie od Baudelaire'a (*Kwiaty zła* wyszły bodaj w 1857 roku) Trzydzieści lat wcześniej kreował presymboliczne i preimpresjonistyczne sposoby ekspresji. Nie wiem nawet, czy u Mickiewicza i Malczewskiego te premodernistyczne elementy nie występowały w większym nasileniu. W *Słowniku języka Adama Mickiewicza* Konrada Górskiego słowo "szum", które pojawia się w *Ałuszcie w dzień* (w określeniu: *w jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa*), tylko dlatego jest zdefiniowane jako "piana", by nie stwierdzić, że Mickiewicz posługiwał się typową dla symbolizmu synestezją. Mickiewicz wycofał się jednak z awangardowej poetyki w *Wal-lenrodzie*. *Sonet*y powstały w takim okresie, kiedy niczego nie usiłował narzucać, o niczym przekonywać. Dlatego są podobne do *Marii Malczewskiego*. *Maria* zaś jest podobnie presymboliczna i nowatorska. Antoni Malczewski umarł jednak kilka miesięcy po wydaniu powieści poetyckiej. Mickiewicz zaś zaczął realizować misję ważniejszą od kreacji piękna. My zaś pozostajemy w kręgu mitologii, która w czasie realizacji tej misji powstała.

*Wywiad przeprowadził, a następnie spisał i zredagował
Krzysztof Niewiadomski*

